
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

**Tadeusz Konopacki – Wspomnienie o Witoldzie
lub Wiktorze Skwarczewskim, synu ziemi podlaskiej,
ur. w 1870 r., który za działalność patriotyczną w 1902 r.
został skazany na katorgę i zesłany na Sybir
bez prawa powrotu do Ojczyzny**

Po zawarciu umowy między emigracyjnym rządem gen. Władysława Sikorskiego, a rządem Związku Radzieckiego w 1941 r. Polacy – zesłańcy Sybiru otrzymali zezwolenie na opuszczenie Syberii, prawo do wstępowania do tworzącej się armii gen. W. Andersa, a tym samym na wyjazd do azjatyckich republik Związku Radzieckiego, gdzie istniały znośniejsze warunki do poprawy nędznego bytu. Na południu było cieplej, a natura mogła sprzyjać w zdobywaniu żywności na rozległych stepach.

Syberyjski posiołek¹ (osadę) o nazwie Južno Wagriński Wostok 98 w obłasti² Swierdłowski po 2 latach pobytu, opuściliśmy pod koniec lutego w 1942 r. Pociągiem towarowym (już bez straży NKWD) przejechaliśmy kilkutyśięcną trasę wiodącą przez: Swierdłowski, Czelabiński, Karagandę, Ałma Ate,

¹ Ros. *поселок* – osada, osiedle.

² Ros. *область* – obwód (jednostka podziału administracyjnego, odpowiednik województwa).

Frunze³, Taszkent, Ferganę, Samarkandę i Bucharę dojechaliśmy do Aszchabadu. Następnie już wozami dowieziono nas do stepowej osady oddalonej od Aszchabadu ponad 70 kilometrów, a leżącej blisko granicy z Iranem. Po upływie 10 dni powróciliśmy do Aszchabadu i pociągiem przez kilka dni jechaliśmy na wschód i o poranku dojechaliśmy do Frunze stolicy Kirgizji.

Na stepowym placu przylegającym do kolejowego dworca stały 4 grupy jedno i dwuosiowych wozów zaprzężonych w woły, wielbłądy i konie oraz luźno stojące osły i wielbłądy. Z bratem Józkim, wiedzeni chłopięcą ciekawości weszliśmy w te grupy ludzi, wozów i zwierząt. Tu z narastającą obawą zauważyliśmy, że Kirgizi spoglądają na nas z pogardą, niektórzy z nich mówili do nas „Urs jaman”⁴. Dopiero po upływie kilku tygodni dowiedzieliśmy się, że te słowa znaczą: Rosjanin jest złym człowiekiem, a nawet wrednym.

Po skromnym posiłku wydanym przez Polską Służbę Sanitarną odbyło się spotkanie przedstawicieli każdego wagonu z urzędnikiem polskiego konsulatu, których poinformowano o dalszej podróży. Około 1500 Polaków podzielono na 4 grupy i kolejno kierowano do już [k. 1] gotowych do drogi zaprzęgów i zwierząt. Nasi rodzice i liczne grono znajomych i sąsiadów z Polski zostali przydzieleni do pierwszej grupy tego dziwnego stepowego transportu. Naszych rodziców i 6 starszych osób posadzono na dwuosiowym wozie zaprzężonym w dwa młode woły, natomiast bracia Paweł i Staszek dosiedli garbatego wielbłąda, a Józio i ja otrzymaliśmy piękne osiołki, które nie posiadały siodeł, a tylko małe kawałki wołtoku. Przed południem długi „wąż” wozów i zwierząt ruszył w drogę wiodącą przez bezkresny step. Nasze osiołki dreptały tuż za przewodnikiem, który jechał na pięknym i dobrze utrzymanym koniu, a nas poniosła ułańska fantazja znana nam z żołnierskich piosenek. Osiołki również okazywały nam zwierzęcą uległość, gdyż ich grzbiety już dawno nie wiozły tak lekkich, bo wychudzonych i bardzo łagodnych jeźdźców. Byliśmy tam bardzo mile zaskoczenie, bo tak przewodnik i woźnice, jak i poganiacze, nas Polaków darzyli życzliwością i chętnie pomagali osobom chorym i starszym.

Po trzech jednogodzinnych nocnych popasach, rano spostrzegliśmy, że na stepowej drodze już pozostała tylko nasza pierwsza grupa. W południe zarządzono popas, co nas „ułańów” bardzo ucieszyło, gdyż odczuwaliśmy już ból odparzonych pośladków spowodowany długą jazdą na oślich grzbietach. Tu od naszej grupy odłączono połowę wozów i skierowano je na w lewo ku widniejącej na rozległej dolinie osadzie. Teraz pomniejszony pierwszy człon naszej grupy, już jako ostatni, ruszył ku dolinie, która leżała u podnóża wysokich i ośnieżonych gór. Nasze osiołki szły obok siebie i tuż za jadącym na ładnym koniu przewodniku. Przewodnik, pięknym głosem zaczął śpiewać bardzo dziwną, bo jak gdyby wyjąca, a przy tym i skoczną melodię. Słuchaliśmy go z uwagą, gdyż jego miły głos śpiewanej stepowej piosence wskazywał na to, że jest mu wesoło.

Po pochyłej drodze w dół, kolumna przyspieszyła dotąd monotonne tempo jazdy, tylko wozy ciągnięte przez woły, wyraźnie pozostawały z tyłu. Nagle nasz przewodnik ruszył galopem, a nasze osiołki truchcikiem poszły za nim, więc całą uwagę skupiliśmy na tym, żeby nie spaść z ich grzbietów. Przed nami

³ Nazwa Biszkeku w latach 1926-1991 nazwanego tak na cześć komunisty Michaiła Frunzego urodzonego w tym mieście w 1885 roku.

⁴ Z kirgiskiego *орус жаман* dosł. Rosjanin jest zły.

ukazała się grupa jeźdźców na koniach, wśród których dreptały trzy objuczone osiołki. Zbliżaliśmy się do nich w dużym tempie i spotkaliśmy się z nimi w odległości około dwóch kilometrów [k.2] od osady. Jeźdźcy hałaśliwie przywitani się z przewodnikiem, a następnie rozdzielili się i pogalopowali do wolno jadącej kolumny. Nas powitał Kirgiz w średnim wieku, ale nie jego mowa łamanym rosyjskim językiem, lecz trzymany w ręku placek skupił na sobie naszą całą uwagę. Kirgiz spojrzał na nas dobrotliwie, wyciągnął ku nam rękę z trzymanym plackiem i powiedział:

– Na, twaja bieri. Nu, bieri i twaja kuszaj. Wy malczyki, wy bieri i kuszaj lepioszku. Lepioszka charoszaja, nu bieri⁵.

Józio pierwszy wziął do ręki zarumieniony krążek dziwnego placuszka, którego wielkość dorównywała powierzchni dwóch złączonych dłoni dorosłego człowieka. Teraz ja łakomie spoglądałem na to, co w ręce trzymał braciszek, ale dobry Kirgiz zaraz trącił mnie w ramię i z pełnym szczeroci uśmiechem, ofiarował mi taki sam krążek stepowego chleba. Chwyciłem podany mi placek i z grzecznym pokłonem, po rosyjsku wypowiedziałem słowa podziękii, a następnie z niedowierzaniem patrzyłem na tak smakowicie pachnący krążek. Placek wyglądał jak ten obwarzanek z odpustowego kramu w Polsce, tylko że jego środek wypełniała cienka warstwa pikowanego ciasta.

– Nu, kuszaj, ty Malczyk lepioszku kuszaj, eto charoszaja, nu ty poruszaj wsjo⁶ – życzliwie zachęcał dobrotliwy Kirgiz.

Drżącymi z wrażenia palcami przełamiałem krążek i ugryzłem duży kęs, a rozdrabniany w ustach, jego wspaniały smak i zapach stałe się potęgowały. Boże drogi! Jak to fajnie smakuje, a ten smak przypomina mi mamafęgę z drobno zmielonej kukurydzy oraz pyszności zawarte we wszystkich kaszach i mące. Kirgiz widząc nasz podziw dla ich smakowitego pieczywa, mile do nas się uśmiechnął i jeszcze obdarował nas po gałce suszonego sera o wielkości gęsiego jaja, po czym wsiadł na konia i odjechał do zbliżającej się kolumny wozów. My, radosnym spojrzeniem porozumieliśmy się bez wypowiedzenia nawet jednego słowa i nie korzystając z osiołków, pobiegliśmy do wozu, na którym jechali nasi rodzice.

Mama nas już wypatrywała i nawoływała, żeby dać nam po kawałku lepioszki, a te jej kochane i zawsze głodne urwisy, jakoś się zagubiły w tej rozwlekłej karawanie. Tym, że od niej niczego nie chcemy, a jeszcze dajemy duże kawałki [k.3] lepioszki i dwie gałki suszonego sera, była bardzo zaskoczona i wzruszona. W oczach mamy pokazały się łzy szczęścia, gdyż dopiero tu, na tym obcym i gołym stepie, jej dzieci miały dosyć chleba. Takim okruczem ludzkiej życzliwości został dokonany wspaniały gest przez mieszkańców kołchozowej osady, która nazywa się Majdamtał⁷. Tu, na tym tułaczym i zagubionym w stepie szlaku, witali nas życzliwi oraz gościnni ludzie. Ci, jeszcze nieznani nam ludzie, każdą Polską rodzinę obdarowali stepowym chlebem, trzema gałkami suszonego owczego sera i czterema kilogramami pszennej mąki.

⁵ Tekst wpisany błędnie w języku rosyjskim tu: „No bierz to twoje, bierz i jedz swoje. Chłopcy bierzcie i jedzcie lepioszkę (rodzaj chleba wypiekanego z mąki, wody i tłuszczu bez dodatku drożdży). Lepioszka jest smaczna, bierzcie”.

⁶ Jw. „No, jedź chłopcze lepioszkę! To dobre! Zjedź wszystko!”.

⁷ Dzisiejsza nazwa ani położenie wspomnianej miejscowości nie zostało ustalone.

Do gościnnej osady przyjechaliśmy po trzydziestogodzinnej podróży i tu wszystkim tułaczom zapewniono dach nad głową. Naszej rodzinie przydzielono małą lepiankę, za którą przepływał płytki rów nawadniający pola i dostarczał pitną wodę. Lepianka była zbudowana z kamieni i glinianej mieszanki ze stepową roślinnością. Jednoizbowa lepianka, swoją powierzchnią nie przekraczała 12 metrów kwadratowych, a jej wysokość nie przekraczała 180 cm. Do wnętrza lepianki prowadziły małe sztachetowe drzwiczki o wymiarach 60 x 130 cm. Po prawej stronie na wysokości drzwiczek był mały otwór, który spełniał rolę okna i wentylatora, przez który podczas dnia słoneczne promienie ogrzewały jego wnętrze. Podłoga składała się z glinianego podłoża i kilku warstw równo rozprowadzonego i wyschniętego krowiego łajna. Tak nałożone warstwy naturalnego surowca, po wyschnięciu stanowiły doskonałą izolację od podłoża i nie wydzielaly już żadnej przykrej woni, więc dało się żyć. Jak wstępnie ocenił nasz ojciec: „w Polsce, takie dziwo kompromitowałyby nawet skrzywdzonego przez los pogorzela, a tu zapewniało schronienie i spokój”. Z tej sytuacji najbardziej zadowolona była nasza mama, bo nareszcie skończyła się męcząca jazda na podskakującym na stepowych wertepach wozie, a jej dzieci już nie musiały odparzać chudych tyłków na oślich i wielbłądzich grzbietach. Cieszyło ją również i to, że ta mała lepianka była starannie pobielona prawdziwym wapnem, co zapewniało czystość i brak robactwa. O połowę mniejszą lepiankę dano starym i schorowanym Żydom, którzy teraz byli naszymi sąsiadami. Korzystając z bliskości i zasobności strumyka, Paweł sprawnie zorganizował nam polowy system kąpeli oraz trzepanie odzieży.

Po godzinnym pobycie w lepiance, odwiedził nas Kirgiz, ten sam, który na drodze częstował nas lepioską. Kirgiz, pozdrowiwszy tatę, przedstawił się jako prjedsjedatel⁸ (zarządca) kołchozu a mówiąc stale świdrował wzrokiem nasze tobołki i skromny dobytek. Jego uwagę [k.4] skupiło blaszane wiaderko, które wskazując nam ręką, powiedział:

– Nu, wot da. Wy malczyki bieri etoja i poszoł za mnoj, mają wam łapszu⁹ dam. Wy budjetje kuszał. Ponimajesz?

Prjedsjedatel wypowiadając „kuszał”¹⁰, otwierał usta, a następnie głośno siorbał. Staszek w mig pojął, co on chce nam przekazać, a także do czego zaprasza prjedsjedatjel kołchozu. Wziął wiaderko i poszedł do strumyka, by go starannie wypłukać. W tym samym czasie, Kirgiz wskazując na Józia i mnie wyprowadził nas z lepianki, my od Staszka wzięliśmy wiaderko i posłusznie poszliśmy za władzą kołchozu. Kirgiz prowadził nas na północny skraj osady, więc mijaliśmy chałupinki bardzo podobne do naszej lepianki, a także i to, co wzbudzało nasz podziw po wjeździe na step, a teraz mogliśmy je nawet dotykać, okrągłe jurty. Przy lepiankach i jurtach płonęły ogniska, na których Kirgizki gotowały strawę. Paleniska były zbudowane z pomysłowo ułożonych kamienie, a nad płomieniem zwisały lub leżały na kamieniach, różnej wielkości naczynia podobne do garów i mis.

⁸ Ros. *председатель* – przewodniczący.

⁹ Ros. *лапша* – dosł. makaron lub zupa z makaronem.

¹⁰ „Tak to. Chłopcy weźcie to i chodźcie za mną. Dam wam łapszy. Będziecieje-dli. Rozumiesz?”.

Zatrzymaliśmy się obok okazałej lepianki, przy której płonęło ognisko z wiszącym nad nim dużym kotłem. Ognisko doglądały trzy młode kobiety, które były odziane w pasiaste okrycia i długie kwieciste spodnie, a spod okrągłych czapeczek zwisały im na plecy, czarne, grube i bardzo długie pojedyncze warkocze.

Kobiety wokół Kirgiza zachowywały się z szacunkiem i starannie mieszały gotującą się oraz pachnącą zawartość kotła. Wkrótce za nami ustawiła się długa kolejka rodaków, którzy byli systematycznie doprowadzanie przez miejscowych wyrostków. Kirgizi, między sobą prowadzili rozmowy w niezrozumiałym dla nas języku, ale z ich tonu, zachowania i spojrzeń, odczuwaliśmy okazywaną nam życzliwość i współczucie.

Jedna z kobiet podeszła do nas, wzięła wiaderko, do którego przy pomocy drugiej kucharki naląła pachnącej i gęstej strawy. Kiedy wiaderko znalazło się w naszym posiadaniu, Kirgiz wskazał nam kierunek do naszej lepianki, a my z pokłonem spełniliśmy jego gest. Mama z radością rozdzielała przyniesioną strawę tutejszych ludzi, którzy nazywali ją „łapsza”. Według oceny naszej mamy, ci gościnni Kirgizi obdarzyli nas ponad czterema litrami pysznej i pożywnej strawy. Ta azjatycka strawa składała się z cienko rozwałkowanego i pokrojonego w kwadraciki ciasta, ugotowanego w tłuszczu razem z rozdrobnionym baranin mięsem.

Rano, wszyscy dorośli Polacy zostali zwołani na zebranie, które [k. 5] odbyło się na wolnym powietrzu, a właściwie na równo wyłożonym glinianym placyku. Cała powierzchnia tego placyku przypominała nam gospodarskie klepisko w Polsce. W pobliżu i wokół tego placyku znajdowały się liczne kopczyki butwiejących plew i odpadów polowych upraw. Na pięknym osiodłanym koniu przyjechał zarządca kołchozu, który po zejściu z konia i przekazania go młodemu Kirgizowi zbliżył się do zebranych i przez krótki czas przyglądał się stojącym Polakom, a następnie rozpoczął swoje przemówienie. Jego słaba znajomość języka rosyjskiego, była znacznie bogatsza od wiedzy prezentowanej w Aszchabadzie przez Turkmenów i dzięki temu, każdy w miarę dobrze zrozumiał to, co Kirgiz do nich mówił:

– Ja jestem zarządcą tego kołchozu, nazywam się Cygandyk, a nasz kołchoz Majdamtał. Naszym najbliższym sąsiadem jest kołchoz o nazwie Italia. Do tego kołchozu jest 6 kilometrów, a w odległości następnych 10 kilometrów znajduje się duży kołchoz, który nazywa się Sauron. Tam w kołchozie Sauron jest poczta, jak będą jakieś pisma albo listy, to listonosz szybko przywiezie na wielbłądzie. Nasz oraz inne sąsiadujące z nami kołchozy podlegają władzy rejonu i obwodu, a siedzibą tych władz jest miasto Frunze. Jak już wiecie do Frunze prowadzi ta droga przez pagórki i step, a jej długość wynosi 81 kilometrów. Nasz kołchoz jest ostatnią miejscowością leżącą przed tymi wysokimi górami, które graniczą z Chinami. Do zadań naszego kołchozu należą: uprawa pszenicy, kukurydzy, jęczmienia, bawełny, kawonów¹¹, melonów i tytoniu oraz wypas dużych tabunów koni i wielbłądów, a także stad owiec. Wszystkie pola są uprawiane systemem nawadniania i w związku z tym, wszyscy mieszkańcy

¹¹ Kawon – arbuz, słowo charakterystyczne dla przedwojennej polszczyzny Małopolski i Kresów Wschodnich, od tureckiego *kawun* – melon.

są zobowiązani do wykazywania troski o stałe funkcjonowanie głównych kanałów i rowów doprowadzających wodę do pól. W tych górach i nad strumieniem rosną krzewy i kilkadziesiąt drzew, których nikomu nie wolno łamać lub ścinać. Gałęzie z krzewów i drzew są używane tylko jako materiał do budowy tam, które spiętrzają wodę i doprowadzają tam, gdzie jest potrzeba. Wszyscy przybyli do nas ludzie będą zatrudnieni przy kopaniu nowych kanałów i rowów oraz przy pogłębianiu i poszerzaniu tych, które już są. Za swoją dobrze wykonaną pracę, każdy otrzyma taką samą zapłatę jak moi kołchoźnicy, ale pod warunkiem, że pracę wykona zgodnie z obowiązującą normą. Oddane wam w użytkowanie lepianki w naszym języku nazywają się kibitkami i są własnością tych pasterzy w górach i na stepie, więc o te kibitki należy dbać. [k. 6] Już wkrótce będziecie mogli zbudować własne kibitki, a moi ludzie pomogą wam i nauczą jak zdobywać opał, jak należy posługiwać się w stepie ogniem i jak należy zachowywać się w stepie i w górach. My Kirgizi już wiemy, że wy nie jesteście Rosjanami, również wiedzą i to, że przybywacie z dalekiego kraju. W naszym kołchozie jest jeden grażdanim (obywatel), który to niby jest ruski, a ruski nie jest, bo jak mówi nam o sobie, to on należy do waszego narodu. Tego grażdanim na każdy tutejszy człowiek dobrze zna i poważa go jak swojego. Ten nasz i wasz grażdanim już wkrótce powróci z gór, to wami się zajmie i na pewno dużo wam pomoże.

Zaraz po przemówieniu zarządcy nastąpił podział ludzi na brygady, ale dopiero po dokonaniu wstępnej oceny wyglądu i kondycji fizycznej. Zapadał kolejny azjatycki wieczór. W małej lepiance, bez ławki, stołu, pryczy, łóżka i jakiegokolwiek półki, jak w bez meblowej klatce siedzieliśmy w kucki, albo leżeliśmy na boku na badyłach bawełny i z uwagą słuchaliśmy tego co mówił nam ojciec.

– Jak już wiecie, moi synkowie, nędza ma swoje liczne rodzeństwo. Nędza syberyjska jest bardzo zimna, zachłanna i bezlitosna. Natomiast nędza azjatycka musi być jej młodszą siostrą. Tutejsza nędza też jest okrutna, a od syberyjskiej różni się tym, że ona jest cieplejsza, ale my jeszcze nie wiemy jaka okaże się gorąca. Jednak najważniejsze, że ona jeszcze nie zdążyła popsuć tych dobrych ludzi i pozbawić ich wrażliwości na naszą niedolę. Więc, moje dzieci, już od dzisiaj będziemy Pana Boga gorąco prosić, żeby ta, azjatycka nędza pozostała taką, jaką jest. Sami widzicie, że już po trzech minionych dniach pobytu w tym kołchozie, wszyscy poczuliśmy ludzką życzliwość i ofiarność tych ludzi w niesieniu nam pomocy. Toteż powinniśmy o tym pamiętać, że oprócz otrzymanej tu pomocy, zawsze i wszędzie będziemy sami sobie pomagać, tak zwyczajnie, jak brat bratu, jak Polak, Polakowi.

Tę, tak interesującą wypowiedź taty, nagle przerwały dolatujące odgłosy kaszlu i szmery, a już po chwili wszedł nasz sąsiad, stary Żyd. Zasapany starszek chciał tacie coś powiedzieć, ale był tak zmęczony i czymś mocno wzruszonym, że nie mógł nic powiedzieć. W tym samym czasie przez mały otwór, do wnętrza lepianki wcisnęła się mocno pochylona postać olbrzyma. Olbrzym kucną i korzystając ze światła lampy naftowej przez chwilę bacznie przyglądał się naszemu tacie. [k.7]

Przybysz był bardzo wzruszony, więc wolno i drżącym głosem zaczął mówić po polsku.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Dobry wieczór wam, moi drodzy, moi polscy bracia.

Przybysz z trudem powstrzymywał wzruszenie, ale łzy i tak obficie spływały po jego starczej twarzy. Ojciec przesunął się bliżej przybysza i zapytał.

– Człowieku! Kto ty jesteś i dlaczego płaczesz?

Przybysz wcale nie wstydził się swoich łez, a patrząc na tatę głośno i wyraźnie powtarzał.

– Bracie! Ja też jestem Polakiem! Ja jestem takim samym Polakiem jak ty, mój bracie! Ja z krwi i kości jestem Polakiem, jak i wy, moi drodzy rodacy! Moi kochani bracia!

Najpierw podali sobie dłonie, a już po chwili, siedząc w kucki, bo ze względu na niską kibitkę, nie mogli stanąć na nogach, trzymali się w objęciach. Tak los połączył dwa strapione polskie serca i dusze, które okrutnie doświadczone przez los, teraz się odnalazły, aż na stepie dalekiej Kirgizji. Ze względu na panującą w lepiance ciasnotę, wzruszony tym niezwykłym wydarzeniem stary Żyd wyszedł i razem ze starym współlokatorem poszli do swojej kibitki. Natomiast uszczęśliwiony spotkaniem z rodakami przybysz, zaczął szczerze i wylewnie mówić o sobie.

– Ja nazywam się Skwarczewski¹², urodziłem się koło Białegostoku w 1870 roku i mam już 70 lat. 40 lat temu, bo w 1902 roku zostałem aresztowany i skazany na katorgę. Byłem bardzo daleko na wschodzie, i chociaż tam w kopalni było mi bardzo ciężko, to dzięki Panu Bogu, jakoś zostałem przy żywych. Potem, zaraz po wybuchu wojny z Japończykami był nabór do wojska, więc zgłosiłem się na ochotnika. Tamta wojna była bardzo ciężka i krwawa, ale za odwagę, celne oko i silne ręce zostałem ulaskawiony, a potem skierowano mnie do Taszkontu. Rewolucja bolszewicka, też nie była dla mnie łaskawa, bo aż dwa razy prowadzili mnie na rozstrzelanie, ale łaska Pana Boga zawsze była przy mnie, więc dzięki temu ocalałem. Już od dziesięciu lat ja jestem w tym kołchozie. Moja żona z pochodzenia jest Rosjanką, mamy jedyną córkę i kochanego wnuka, taki sam jak o ten – wskazał na mnie. – Moja żona pracuje przy hodowli kołchozowych świń, a ja poluję tam w tych wysokich górach, a upolowane mięso dostarczam dla władzy rejonu we Frunze. W tych wysokich i rozległych górach jest dużo dzikich świń i innej zwierzyny, a do polowania mam strzelbę i dwa konie. [k. 8] Teraz wam powiem, że tutejsi ludzie nie lubią Rosjan, ale oni z natury są dobrzy, tylko ich wiara jest inna niż nasza. Ich wiara dla nas ma wiele bardzo trudnych do zrozumienia praw oraz obyczajów. Mnie i moją żonę oni nawet lubią, ba nawet szanują. Tylko nikt z tych ludzi nam nie poda ręki. Ta sytuacja nie wynika z jakiś tam zawiści, czy obrazy, a tylko z ich religii, która surowo zabrania jeść wieprzowinę, jak również dotykać tego, kto je lub dotyka świnie. Oni również cenią nas za to, że my tych świń doglądamy, a tym samym wyręczamy ich od obowiązku, który stoi w sprzeczności z wiarą.

¹² Nazwisko Skwarczewski nie występuje obecnie w pobliżu Białegostoku. Według objaśnień zawartych w pracy Jana Bystronia, a dotyczących się nazwiska „Skwarczewski” jest ono spolonizowanym nazwiskiem ruskim „Skwarczenko”. Można choćby na tej podstawie domniemywać, iż bohater powyższej opowieści urodził się na obszarze pozostającym obecnie poza granicami Polski, a jednocześnie w pobliżu Białegostoku np. na Grodzieńszczyźnie; J. S. Bystron, *Nazwiska polskie*, Warszawa 1993, s. 139

Bo jak widzisz mój bracie, tak czy inaczej, ten kołchoz musi hodować świnie i rocznie odstawać do rejonu około tony żywca, bo taki jest deputat. Jak wam już mówiłem, ci ludzie są dobrzy i gościnni, ale niechaj Bóg broni tego, kto Kirgizowi wejdzie w drogę. Najbardziej są wrażliwi na stare obyczaje obchodzenia się z kobietami, potem są sprawy religijne, a dalej, to oni nie mają żadnej litości dla złodzieja. Oni, zanim komuś zaufają, przedtem wystawią go na próbę, a robią to bardzo chytrze i po kilka razy. Kirgizi swoich kibitek ani jurt nigdy nie zamykają, a każdego przybysza przyjmują i ugospzczą.

Rodak na chwilę przerwał swoją wypowiedź i głęboko się zamyślił, a po chwili mówił dalej.

– Ja wam już tyle nagadałem, a teraz proszę powiedzcie wy. Mówcie mi dużo o sobie, mówcie mi o mojej ukochanej Polsce i tak mojemu sercu bliskiej ojczyźnie. Jak już wiecie, ja jej lat 40 nie widziałem, a moje serce i dusza są tak bardzo stęsknione, że w środku boli i mocno ściska, a w gardle tak dławi. Oj tak ściska i dławi.

Po tej wypowiedzi rodaka Skwarczewskiego, zaczął mówić nasz ojciec. Mówił o sobie, a następnie o ziemi i kraju ojczystym, który przez lat 20 był wolny, syty i pełen nadziei na przyszłość. Teraz nasza ojczyzna jest zboczona krwią bohaterskich Polaków, cierpi niewolę, ale wytrwale znosi obce kajdany, a nasz polski żołnierz znowu przystępuje do walki o jej niepodległość.

Opowiadanie taty było barwne i rzeczowe, ale ostrożne, bo kto może wiedzieć, co mówić żeby nie popełnić błędu, który może drogo kosztować. Jednak przybysz okazał się uważnym i wrażliwym słuchaczem, więc wszystko dokładnie zrozumiał. Pan Skwarczewski serdecznie dziękując, wyraził przekonanie, że jeszcze nie raz będzie prosić o dalsze i tak jego sercu miłe rozmowy. Teraz rodak zwrócił się do naszej mamy.

– Siostró. Na nasze pierwsze i tak miłe spotkanie, ja tobie w [k. 9] podzięczę przyniosłem mały poczęstunek, ot taki z gór.

Rodak nie wstając przesunął się bliżej drzwi, a po ich otwarciu ręką sięgnął po coś, co leżało na zewnątrz, tuż przy ścianie lepianki. W taki oto, niespodziewany sposób staliśmy się posiadaczami prawie trzech kilogramów świeżych wnętrzości i czterech nóżek z upolowanej w górach dzikiej zwierzyny. Rodak opuszczając lepiankę, jeszcze raz rodzicom serdecznie podziękował, a na nas chłopaczków miłe spojrział. Pan Skwarczewski wyszedł w towarzystwie taty, z którym jeszcze przez kilkanaście minut rozmawiał na osobności.

Nasz wspaniały rodak Skwarczewski, swoim autorytetem sprawił, że Kirgizi z tego kołchozu i innych osiedli, dla nas Polaków stali się przyjaźni, a nawet bardzo pomocni w znoszeniu bólu tułaczkiej niedoli. Ci, zniewoleni przez imperium carów, a teraz przez bolszewizm Azjaci nie stracili uczucia niesienia pomocy drugiemu człowiekowi. Natomiast tą osobą, która zrozumienie i zgodne współdziałanie miejscowych Azjatów – islamistów z Europejczykami – chrześcijanami z powodzeniem rozwijał i utrzymywał. Jednak rzadko, ale powstające nieporozumienia na styku obyczajów i religii, skutecznie łagodził. Nam, polskim dzieciom kazał zwracać się do siebie dziadku, co go bardzo cieszyło i łagodziło tęsknotę za rodzinną ziemią i za ojczyzną.

Nasz rodak Skwarczewski uratował życie naszemu ojcu i bratu oraz kilkudziesięciorgu Polaków, którzy odmówili podpisania obywatelstwa radziec-

kiego zaraz po zerwaniu stosunków dyplomatycznych przez ZSRR z polskim rządem na emigracji. Ci, którzy posłuchali rady rodaka Skwarczewskiego – przeżyli, a następnie już w szeregach 1. Dywizji gen. Zygmunta Berlinga przeszli szlak bojowy od Lenino do Berlina. Natomiast osoby w starszym wieku, kobiety i dzieci w 1946 roku powrócili do ojczyzny, a obecnie należą i aktywnie uczestniczą w Związku Sybiraków.

Po wielu latach w rozmowie z ojcem dowiedziałem się, że nasz wspomniały „dziadek” i rodak Skwarczewski zginął tragicznie na polowaniu w Górach Kirgiskich w 1945 roku.

Szanowni Państwo, mieszkańcy Białegostoku i okolic. My bracia Józef (ur. 1930) i Tadeusz (1932) Konopacy spełniamy obowiązek poinformowania Państwa o tragicznych losach zesłańca Sybiru, katorżnika, człowieka o zwyczajnie ludzkim sercu, o Polaku i patriotcie.

Tadeusz Konopacki, syn osadnika wojskowego, ur. 1932 roku w Żelechowie k. Kamionki Strumiłowej w woj. tarnopolskim. Deportowany wraz z rodziną 10 lutego 1940 roku do rejonu sierowskiego w obwodzie swierdłowskim. Na mocy umowy Sikorski-Majski podobnie jak tysiące Polaków znajdujących się na terytorium ZSRS, objęty „amnestią” i zwolniony ze ścieposielenija. Rodzina Konopackich przeniosła się wówczas do Kirgizji, a w lipcu 1942 roku wraz z armią gen. W. Andersa ewakuowała się do Persji. Tadeusz Konopacki podjął tam naukę w szkole junackiej. Wiosną 1943 roku trafił do Obozu Cywilnego w Oudtshoorn w Południowej Afryce, gdzie przebywał do 1948 roku, następnie powrócił do Polski. W powojennej Polsce podjął służbę w Marynarce Wojennej awansując ostatecznie do stopnia komandora. Obecnie mieszka w Ustce.

Maszynopis relacji pochodzi ze zbiorów Muzeum Pamięci Sybiru,
O. Muzeum Wojska w Białymstoku; oryginał sygn. DBZiD/W/47

*

Edward Poważynski – Z zapisków Sybiraka, żołnierza Brygady Karpackiej

Zostałem aresztowany w nocy 24 marca 1940 roku i osadzony w więzieniu w Słonimie, jak wielu moich kolegów licealistów. Byłem tam do 10 lipca tegoż roku, następnie przewieziono mnie do Orszy w ZSRR, gdzie w trzech celach spędziłem około 7 miesięcy, aby w początkach lutego 1941 usłyszeć wyrok: pięć lat ciężkich robót w obozie. Mnie i moich towarzyszy zawieziono około 300 km za Wołgę. Tam dostałem się do dość dobrego, jeśli chodzi o warunki, obozu i pracowałem przy wyrębie lasów. Praca, jeśli się zważy moje 19 lat i roczny pobyt w więzieniu, była ciężka dla mnie. W maju zachorowałem na zapalenie jelit, z którego wyszedłem prawie cudem. Stało się to tylko dzięki pielęgniarce, Rosjance z Moskwy, która nie wiem skąd przynosiła mi świeże mleko i, co ciekawe ... mandarynki.

Tak oto dzięki tej Rosjance wyszedłem ręką Opatrznościową stamtąd, skąd się nigdy nie wraca. Przeleżałem w obozowym lazarecie okrągły miesiąc. W dwa dni po wypisaniu mnie ze szpitala wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka,

a 14 lipca była już wiadomość o naszej amnestii, chociaż smaku tego owocu nie mogliśmy jeszcze spróbować. Dopiero 28 sierpnia pierwszych 92, wśród nich i mnie, wypuszczono za bramę. Opisać tego wzruszenia nie jestem w stanie. Setki razy przechodziłem przez tę bramę, ale tym razem czułem, że jest ze mną Anioł Stróż.

W połowie września, po długiej wędrówce przez całą Rosję, przywędrowałem do kolchozu w Kazachstanie, gdzie była cała moja rodzina. Tam spędziłem zaledwie trzy miesiące, bo na cztery dni przed Bożym Narodzeniem wyruszyłem do formującej się w ZSRR Armii Polskiej, tworzonej przez generała Władysława Andersa. Niestety, nie był to czas odpowiedni na wędrówkę. Szedłem piechotą przez pusty step w czasie szalejącego buranu, czyli burzy śnieżnej. Do stacji miałem 60 wiorst. I znowu dzięki Opatrzności cudem uniknąłem śmierci. Dobrnąłem do stacji siny i skostniały, ale odniosłem zwycięstwo. Zwycięstwo woli, wysiłku i stanowczości.

Po kolejnej długiej wędrówce na południe Rosji, do Uzbekistanu, a było to 11 lutego 1942 roku, zostałem wcielony do wojska i przydzielony do artylerii przeciwlotniczej. Znalazłem się w obozie Guzał. Tam nieomal cudem udało mi się uniknąć epidemii tyfusu, która dziesiątkowała nasze szeregi. Wreszcie w marcu opuściliśmy Guzał, a 2 kwietnia wysiedliśmy na perski brzeg w porcie Pahlewi. Stąd wyruszyliśmy w kierunku Teheranu.

Przejazd przez niebotyczne perskie góry wbił mi się w moją wyobraźnię. Jechaliśmy w wozach ciężarowych, którymi kierowali Persowie, bo tylko oni byli zdolni przejechać tę karkołomną drogą. Świtało, a myśmy się wspinali coraz wyżej i wyżej. Ostre zakręty i niekończące się serpentyny były nieodstępnymi towarzyszami naszej podróży.

Czasami na postoju patrzyłem w dół, ku przepaści, ku zboczom górskim, ze strumieniami na skalistych kataraktach. Brzegi strumieni porastały sady owocowe, bieleły się wśród nich dachy chat tubylczych. W górze ponad nami piętrzyły się zwietrzałe skały, które, zda się, czekały tylko, by stoczyć się i zgnieść taką małą kruszynę jak nasz samochód. A jednak fortuna nam sprzyjała, bo los zaoszczędził nam takich niespodzianek. Czasami, gdy zmęczony samochód pił chciwie wodę i benzynę na postoju, rozmawiałem po rosyjsku z Persami o ich życiu i obyczajach.

Coraz bliżej Teheranu zaczęliśmy zjeżdżać w dół, by po pewnym czasie ujrzeć, w kotlinie między dwoma szczytami, skąpane w słońcu i zieleni miasto. Tu otrzymałem swój pierwszy żołd (15 tumanów). Oglądaliśmy miasto, objadaliśmy się owocami, ach, jakże nam smakowały po czarnym chlebie obozowym. Staliśmy w Teheranie około miesiąca. Było coraz cieplej. Zmieniliśmy ciepłe ubrania na drelichowe.

Potem przenieśliśmy się do Avhosu, małego perskiego miasteczka, i tam dopiero poznałem, co to znaczy upał! Temperatura dochodziła do 70 stopni Celsjusza, powietrze paliło jak ogniem. Dopiero po godzinie 6. wieczorem rozpoczął się ruch. W Avhosie po raz pierwszy widziałem rzekę Tygrys, jej żółte, muliste wody leniwie zmierzające do Zatoki Perskiej.

Gdy opuściliśmy Ahvos, nad Zatoką Perską zostaliśmy załadowani na duży okręt i wypłynęliśmy na Ocean Indyjski. Na okręcie zachowywano środki ostrożności w obawie przed nieprzyjacielskimi łodziami podwodnymi. Każdy z nas dostał pływaki ratunkowe. Po kilku dniach przyплыliśmy do portu Aden u wejścia do Morza Czerwonego. Po naszej lewej burcie widniał na horyzoncie brzeg afrykański. Po parogodzinnym postoju płynęliśmy na Morze Czerwone, które tak naprawdę jest szafirowe. W miarę zbliżania się do Kanału Sueskiego środki ostrożności zaostrzały się, Niemcy bowiem stali niedaleko Aleksandrii, ale jakoś szczęśliwie dobrnęliśmy do Suez. Była to Afryka, ziemia egipska, królestwo piramid i sfinksów...

Po wyładowaniu się z okrętu w Egipcie przesiedliśmy się na samochody ciężarowe. Ze swoim skromnym plecakiem usadowiłem się na przodzie, by móc podziwiać krajobraz. Ale mogłem podziwiać tylko ciemną egipską noc. I ciemne pasy po obu stronach, w których domyślałem się lasów palmowych.

Po odpoczynku w obozie przejściowym, gdzie dostaliśmy ciepły posiłek (ja odpoczywałem tylko w połowie, na mnie bowiem wypadło pełnienie służby) wyruszyliśmy do Palestyny. Olbrzymia karawana wozów ciągnęła się czarną asfaltową szosą wśród rozpalonej, żółtej pustyni. Jak okiem sięgnąć, lotne piaski, wysokie wydmy, które wiatr rzeźbił swym dłutem. Gdziekolwiek samotne palmy ze spiekłymi od żaru liśćmi. Mijaliśmy tylko długie karawany wielbłądów, powiązanych sznurami za uzdy, idących wolno i kołyszących się jak okręty. Od czasu do czasu siedzący na grzbiecie zwierzęcia Arab nucił monotonną melodię Wschodu i znów cicho, i znów tylko pustynia... Ciało zraszał obfity pot, na głowach mieliśmy tropikalne hełmy, chroniące nas przed udarem słonecznym, a na twarzach, kompozycję pyłu pustynnego i wilgoci...

Jedną noc przebywaliśmy w szczerzej pustyni. Zmarzłem wówczas straszliwie, mimo okrycia się dwoma kocami i płaszczem, jak za dobrych syberyjskich czasów. Noc była pełna gwiazd, słyszało się wycie szakali, które podeszły dość blisko, jakby chcąc uprzyjemnić nam sen pod gołym niebem, sen na pustyni. Przypomniał mi się wówczas *Ojciec zadżumionych* Słowackiego. Niedaleko stąd, koło miasteczka Gaza, Słowacki odbywał swoją kwarantannę i tam usłyszał dzieje ojca zadżumionych.

Następnego dnia, zabrawszy zapas wody z pobliskiej miejscowości do worków brezentowych (mają one tę właściwość, że nasiąkają, dzięki czemu woda w nich, poddana działaniu pędu powietrza, staje się zimna jak lód), dobieśliśmy do obozu Chil w Palestynie. Rozlokowaliśmy się pod namiotami. Życie tu było naprawdę żołnierskie. Poza szkoleniem, pełniliśmy warty, chodziliśmy do kina obozowego, piliśmy mnóstwo wody sodowej i zjadali sterty pomarańczy i winogron. Ledwie mi na to starczał mój skromny żołd. Wkrótce zostałem wcielony do Brygady Karpackiej, do Pułku Artylerii Przeciwlotniczej, który rezydował w obozie Bejdzirdzice.

Znalazłszy się w Egipcie, nie sposób było nie zobaczyć piramid. Wyjechaliśmy rano. Słońce właśnie wychylało się zza połączonych kopuł minaretów, a muezzin rozpoczynał nawoływanie do modlitwy, gdy wsiadaliśmy do wozów. Nasz dowódca usiłował dobić targu z przewodnikiem arabskim, ale uznaliśmy, że nie będzie on nam potrzebny. Po chwili nasz wóz jak wąż zaczął się przeciskać przez wąskie i zgiełkliwe ulice Kairu, przy akompaniamencie błagalnych

i agresywnych okrzyków umorusanych dzieci arabskich: sahib, bakszysz! Rzucaliśmy im biskwity i papierosy. Okrzyk „sahib, bakszysz” jest nieodłącznym towarzyszem każdego cudzoziemca nie tylko w Egipcie, ale i na całym Bliskim Wschodzie.

Przecisnąwszy się jakoś na szerszą ulicę, spostrzegliśmy, że przejeżdżamy koło pałacu królewskiego. Odbywała się właśnie zmiana warty. Ten widok tak nas zafascynował, że chwilę zatrzymaliśmy się, patrząc na to. Gdy ruszyliśmy i wyjechaliśmy z miasta, ujrzelśmy na horyzoncie piramidy w całej ich krasię... Samochód się zatrzymał, a ja pierwszy dobiegłem do nich. Wzniesione z granitowych bloków, aż znad jeziora Wiktoria transportowanych Nilem, są dziełem wielu tysięcy niewolników. Ile istnień ludzkich padło, by mogły tu stać, przez 4 tysiące lat zadziwiając swoją monumentalnością.

Próbowałem wejść na piramidę Cheopsa. Udało mi się to. Jak na dłoni było stąd widać cały Kair w swym przepychu i majestacie. I rzekę Nil, po której płynęły żaglowe barki, jedyny i pewny środek lokomocji tubylczej ludności. Oczarowany tym widokiem, patrzyłem rozszerzonymi oczami, dopóki nawoływania kolegów nie zmusiły mnie do zejścia.

Zgodziliśmy jednego Araba na przewodnika, dając mu po piastrze od każdego z nas, by zaprowadził nas do wnętrza piramidy. Ruszyliśmy za nim wolno, gęsiego. Arab oświetlał drogę za pomocą palącej się magnezji. W jej świetle patrzyliśmy na olbrzymie kamienne sarkofagi, podziwiając precyzję połączeń bloków oraz całą strukturę piramidy. Po wyjściu, ruszyliśmy do sfinksa, który niczym strażnik stał dużo niżej od piramid z twarzą zwróconą na wschód. Patrzyliśmy na niego zdumieni, odbity nos nie odbierał mu majestatu... Chodząc po zabytkowym terenie, oglądaliśmy też rozbite płyty, pochodzące sprzed tysięcy lat, pokryte hieroglifami...

Gdy zbliżaliśmy się do naszych wozów, jakiś natrętny Arab namówił mnie na jazdę wielbłądem. Siadłszy na garbie tego pocziwego zwierzęcia zrobiłem kilka dość okazałych kótek po pustyni, ale muszę przyznać, że przejazdka taka nie przypadła mi do gustu.

Wróciliśmy do Kairu, mając w perspektywie zwiedzenie słynnego egipskiego ZOO, znajdującego się w centrum miasta. Jako żołnierze, nie płaciliśmy za wstęp. Łaziłem po całym terenie, po alejach, między trawnikami, wśród labiryntów żywopłotów, ciągle natykając się na ciekawe, egzotyczne okazy zwierząt. Odnosiłem nieodparte wrażenie, że został tu zgrupowany cały fascynujący świat fauny. Wrażenia egipskie nie przesłoniły mi jednak rzeczywistości. Wkrótce miałem się znaleźć na froncie, w ogniu walki, i przeżyć wielką bitwę...

M.p. 18.III.47

Mr. Poważński Edward
Milfield Camp 3 – Alnwick
Northumberland – England

Kochana Hanko!

Ażeby nie pozostać w tyle z odpowiedzią, śpieszę się odpisać Ci natychmiast po otrzymaniu Twego drugiego listu, który był adresowany dnia 7.III.47. Szedł on coś zbyt długo, zapewne przyczyną zbyt długiej wędrówki listu są zasypane śnieżne, przez które „biedaczysko liścisko” musiało brnąć w pocie czoła. Jednak-

że dobrnął i przyniósł mi wieści z kraju. Spodziewam się, że następny Twój list będzie musiał przepływać przez nawiedzone powodzią części wyspy. Obawiam się, że nie będzie umiał pływać, a co za tym idzie, będzie się mógł utopić biedaczysko. No, ale żarty na narty!

Zakasuję rękawy i zabieram się do sprawy. Perlisty pot zaczyna zraszać moje czoło, a nerwy skroniowe, od nadmiernego przyływu krwi zaczynają działać na mięśnie, które zaczynają drgać. Tak jak struna napięta, która uderzona palcami muzyka, zaczyna drgać, zaczyna wibrować i wydawać dźwięk, który zależy od duszy i uczucia grajka, śle w przestrzeń odzwierciedlenie duszy.

Cisza zalega nasz skromny pokoik, na kominku dogasają ostatnie węgle. Zegar, uporczywie i znacząco, wybił jedenasty raz. Czas napisać swojej kuzynce coś o swoich przeżyciach, o swoich rejsach poprzez pustynie i morza, o swoich wspinaczkach z oporządzeniem, po górach Apeninach. Jeśli Ty Hanko myślisz, że to było coś przyjemnego, coś wspaniałego, to grubo się mylisz, tak jak ja się myliłem wstępując do wojska. Czas jak pieśń przeszedł i zostawił tylko wspomnienia o tym co było i co się widziało. Czas, ten zabawny pan, pozmięniał wszystko do niepoznania. Pozostaną marzenia.

Otóż w pamiętną noc 24 marca 1940 r. zostałem aresztowany i wsadzony do więzienia w Słonimie (tak samo zresztą jak wielu moich kolegów licealistów). Siedziałem tam do 10 lipca 1940 r. Następnie przywieźli mnie do Orszy do ZSRR, gdzie w trzech celach spędziłem około siedmiu miesięcy, ażeby w początkach lutego 1941 r. usłyszeć swój wyrok pięciu lat ciężkich robót w obozie. Potem zawieziono nas około 300 km za Wołogdę, tj. około 250 km od Leningradu (niedaleko mego miejsca urodzenia). Tam dostałem się do dość dobrego obozu (jeśli chodzi o warunki mieszkaniowe), gdzie pracowałem przy wyrębie lasów. Praca była dość ciężka dla mnie, jeśli się zważy moje 19 lat, a w tym rok prawie w więzieniu. Gdzieś około 20 maja 1941 r. zachorowałem w obozie na zapalenie jelit, z której to choroby wyszedłem prawie cudem. Tylko dzięki pielęgniarce (Rosjanka z Moskwy), która nie wiem skąd, przynosiła mi świeże mleko i co ciekawsze, mandarynki. Zapewne roześmiejesz się, powiesz: Edzio trochę przewrażliwiony. Ale, niestety, trzeba to przyjąć jako pewnik.

A więc, dzięki tej Rosjance, wyszedłem ręką Opatrznościową stamtąd, skąd nikt nigdy więcej nie wraca. Przeleżałem w obozowym lazarecie okrągły miesiąc. W dwa dni po moim wypisaniu ze szpitala, wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka, a 14 lipca była już wiadomość o naszej amnestii, chociaż smaku tego owocu, jeszcze nie mogliśmy spróbować. Dopiero 28 sierpnia 1941 r. zostało tylko 92. wypuszczonych za bramę obozu. Opisać Ci tego wzruszenia nie będę mógł, pomimo tego, po prostu, co się raz w życiu tylko zjawia. A przecież przez tą bramę przechodziłem setki razy, ale wtedy było coś innego, wtedy był poza mną „anioł stróż”.

Okolo 13 września, po długiej przejażdżce poprzez prawie całą Rosję, zatrzymując się jedynie kilka dni w Jarosławiu nad Wołgą, a potem dzień na Uralu w Hołodowsku, przywędrowałem do kołchozu na Syberii, gdzie była cała moja rodzina. Tam spędziłem zaledwie trzy miesiące, bo cztery dni przed Bożym Narodzeniem wyruszyłem do formującej się Armii Polskiej w ZSSR. Wybrałem czas najbardziej nieodpowiedni. Szedłem piechotą poprzez puściutki step, na którym szalał tzw. „buran”, czyli burza śnieżna. Do stacji miałem 60

wiorst. I tu znowu jakąś ręką opatrnościową uniknąłem cudem śmierci. Dobrnąłem do stacji cały siny i skostniały. To było, jak dotychczas, moje największe zwycięstwo. Zwycięstwo woli, wysiłku i stanowczości. Następnie długa wędrówka na południe Rosji, tzn. do Uzbekistanu, gdzie o mały figiel byłbym się znów znalazł u Abrahama, ale to też jakoś minęło, pomimo głodu i wycieńczenia.

Wreszcie przyszedł dzień naszego powołania do wojska, było to 11 lutego 1942 r. Zostałem przydzielony do Artylerii Przeciwlotniczej i przysłany do obozu Guzar. Tam dopiero zapoznałem się z epidemią tyfusu, która to dziesiątkowała nasze szeregi. Dziennie dochodziło do 70-ciu wypadków śmiertelnych. I tutaj znowu los mi sprzyjał. Wreszcie 28 marca 1942 r. wyjechaliśmy do Krasnowodzka (port na Morzu Kaspijskim). Dnia 2 kwietnia 1942 r. byłem już w porcie Pahlevi (na stronie perskiej). 5 kwietnia, tzn. na Wielkanoc, byłem już w stolicy Persji – Teheranie. Dostaliśmy tam pierwszy żołąd, ja dostałem 15 tumanów (tuman, moneta perska). Było to moc pieniędzy, wtedy dopiero dobrze się upiłem i zalałem swoje troski. Potem zwiedzałem miasto, słynne bazyry perskie pod ziemią, słynne muzea, słynne dywany perskie, przetykane złotem, po które w dawnych czasach nasi królowie wysyłali swoich gońców. Piękne, egzotyczne, europejsko-tubylcze miasto. Czar, urok, tajemnice, oto co kryją poza sobą mury i parku Teheranu. Tajemnice, które przybysz, Europejczyk, nie jest w stanie uchwycić i zrozumieć. – Dalszy ciąg nastąpi! Na tym kończę te kilka skromnych słów i zasylam Ci moc braterskich pocałunków, zaś ażeby zaspokoić ciekawość tego „twardego orzeszka do zgryzienia”: Napisałem część pierwszą swoich przeżyć oraz posyłam wierszyk skomponowany do swoich, do tych, którzy tak jak ja czują i jak ja kochają.

Jeszcze raz mocno Cię ściskam.

Brat

A teraz dalszy ciąg moich przeżyć, które zmieniały się tak, jak wzory i obrazy w kalejdoskopie. Umysł i wyobraźnia nadwerężone poprzednimi latami spędzonymi w nienormalnych warunkach, nie były w stanie zreasumować tej potęgi czaru i uroku.

W poprzednim liście nie opisywałem swojej wędrówki poprzez niebotyczne perskie góry, więc dlatego teraz będę się musiał cofnąć nieco wstecz, ażeby uzupełnić to, co wgłębiło się w moją wyobraźnię. W parę dni po naszym wylądowaniu na brzegu perskim, załadowano nas na wozy ciężarowe, którymi kierowali Persowie, ponieważ tylko oni byli zdolni do przebycia tej karkołomnej drogi. Otóż wyruszyliśmy o świcie, zaczęliśmy się wdzierać coraz wyżej i wyżej, droga stała się coraz bardziej uciążliwa, ostre zakręty i niekończące się serpentyny, były nieodstępnymi towarzyszami naszej podróży. Czasami, na postoju, patrzyłem w dół do przepaści, która czerniła się pod mymi stopami, ochocze strumienie pieniły swoje grzywy, mknąc po skalistych kataraktach. Boki strumieni porastały sady owocowe, wśród których najczęściej bieleły się płaskodachy chaty tubylcze. W górze ponad nami piętrzyły się zwietrzałe skały, które zda się czekały momentu, ażeby stoczyć się i zgnieść taką małą kruszynę, jak skromny samochodzik. A jednak fortuna sprzyjała nam, los zaoszczędzał nam niespodzianek. Czasami, gdy „zmęczony” samochód pił chociaż wodę i benzynę, na odpoczynku rozmawiałem z Persami, którzy umieli po rosyjsku,

o ich życiu i obyczajach, ale to wszystko było tak nagłe i krótkie, że nie utrwaliło się w mojej pamięci.

Coraz bliżej Teheranu zaczęliśmy się staczać w dół, ażeby za chwilę ujrzeć w kotlinie, między dwoma potężnymi szczytami, ułożone miasto Teheran, skąpane w kobiercu zieleni – ułożyliśmy się spać. Zmęczeni przeżyciami i wrażeniami słodko usnęliśmy, a do snu przygrywała nam melancholijna muzyka Wschodu. W następnych dniach oglądaliśmy już samo miasto i objadaliśmy się melonami, bananami, ananasami, winogronami i granatami. Wyobraź sobie teraz siostrzyczko, jak nam musiały one smakować, po czarnym chlebie rosyjskim. Nie wiem, czy ty kiedykolwiek będziesz widzieć te owoce, które ja widziałem i niestety zjadłem. No, ale mniejsza o to!

Około miesiąca czasu staliśmy w Teheranie, zaczynało nam być coraz goręcej. Wiosenne słońce zaczęło nam coraz bardziej przypiekać, wobec czego zmieniono nam wełniane ubranie na lekkie ubranie drelichowe. Boże, jak ja wtedy śmiesznie wyglądałem! Wyobraź sobie 22 letni młodzieniec w krótkich (do kolan) spodenkach, no, ja to jeszcze, a wyobraź sobie tych z wąsami i brodami też w krótkich spodenkach. Przedstaw sobie teraz ten widok!

Jakoś uporaliśmy się z gorącym Teheranu, gdy musieliśmy się przenieść do małego miasteczka perskiego Ahvosu. Tam dopiero poznałem, co to znaczy upał. Wyobraź sobie, temperatura dochodziła do 70 C. Było tak gorąco, że paliło jak ogniem. Dyżurny namiotu miał za zadanie oblewać namiot co pół godziny wodą, ażeby w ten sposób bronić się od upału. Cały dzień życie, zdawałoby się, wymarło, dopiero po godzinie 6-tej wieczór rozpoczął się ruch i życie. W Ahvosu po raz pierwszy i ostatni widziałem rzekę Tygrys, której żółte, muliste wody toczyły się wolno i leniwie na południe, ażeby w końcu wpaść do Zatoki Perskiej i w niej zginąć.

Czas spędzony w Ahvosu nie zaliczam do miłych, raczej powiem do upalnych. Wreszcie zaczęły rozchodzić się pogłoski, że wkrótce mamy wyruszyć do Palestyny, ażeby tam połączyć się z Brygadą Karpacką, która po słynnej obronie Tobruku zesłała właśnie na odpoczynek. Pogłoski te coraz bardziej się piętrzyły, aż w końcu zaczęły się powoli urzeczywistniać, aż w końcu nastąpiło przygotowanie do wyjazdu.

Gdzieś około 10 czerwca wyruszyliśmy z Ahvosu do portu Bender-Szach-Pur w Zatoce Perskiej, gdzie zostaliśmy załadowani na duży oceaniczny okręt. Obsługa tego okrętu to Malajczycy, mieszkańcy Archipelagu Malajskiego, okręt natomiast był holenderski pod dowództwem angielskim. Nadszedł moment, gdy okręt podniósł kotwicę, systematycznie oddalał się brzeg, a jego miejsce zajmowała gładka, niczym niezmacona gładź zatoki. Przed nami stada delfinów swawolnie skaczą i zbliżają się z wolna do burt okrętu, wreszcie minąwszy okręt, przeskakują z fali na falę, tak, jakby to było ich radością i młodością. Od czasu do czasu mijaliśmy kutry rybackie, a nawet całe flotylle rybackie, które zastawiały sieci w rybnej zatoce. Zbliżała się noc, okręt jak czarne widmo pruł cicho czerń nocy i głębię Oceanu Indyjskiego. Na okręcie zachowano wszelkie środki ostrożności, związane z napadem lotniczym i ewentualnie atakiem łodzi podwodnych. Każdy z nas dostał pływaki ratunkowe, jak również hamaki i trzy koce do spania.

Na pełnym Oceanie zaczęło dość dobrze kołysać, ażeby więc wyżyć się przykrych następstw wymiotowania, postanowiłem wynieść się z dusznego „looku” spod pokładu, na pokład, gdzie zdrowy, rześki wietrzyk ochładzał i rzeźwił. Ulokowałem się mniej więcej w środku okrętu, tzn. tam, gdzie najmniej buja, wiedziałem o tym jeszcze z dawnych sztubackich czasów. Ułożyłem się na wznak i patrzyłem w niebo. Wreszcie zasnąłem, ażeby nazajutrz zjeść kilka śniadań, tzn. części kolegów, ponieważ ci byli kompletnie wykończeni całonocnym kołysaniem. Mnie również mdło się robiło, ale jakoś przetrwałem ten najgorszy okres, zanim organizm przyzwyczał się do choroby morskiej. Płynęliśmy kilka dni, wreszcie zawitaliśmy do portu Aden, u wejścia do Morza Czerwonego. Po naszej lewej burcie widniał na horyzoncie brzeg afrykański, był to Półwysep Somali, który ostro wcinał się w cieśninę. Po parogodzinnym postoju wpłynęliśmy na Morze Czerwone, które, prawdę powiedziawszy, jest szafirowe, nie ma tam nic z czerwieni, zmieszałem się nieco, wreszcie doszedłem do przekonania, że nazwa ta pochodzi od brunatnego dna morza. No, ale mniejsza o to, zaczęliśmy się zbliżać coraz bardziej do Kanału Sueskiego, środki ostrożności zaostrzyły się, bowiem Niemcy stali niedaleko Aleksandrii, można w każdej chwili spodziewać się nalotu; ale jakoś szczęśliwie, nocą, dobrnęliśmy do Suez. Był to brzeg afrykański, ziemia egipska, królestwo piramid i Sfinksa, kraj zabytków, cudów i mumii, kraj świątyni i minaretów. Dalszy ciąg nastąpi. Na tym kończę swoje opowiadanie, urywając w najciekawszym miejscu. – Całuję mocno Ciocię, Wujka, no i Ciebie przy „Little White Lily”.

Jeszcze raz Wesołego Alleluja

Edek

Przeżywszy aż tyle, w tak młodym wieku, Edward zachował wrażliwość poety. Swoje uczucia zamykał w wierszach, które były dla niego „małą Ojczyzną”, miejscem schronienia przed nazbyt dotkliwymi realiami życia. Już w więzieniu śledczym w Orszy w 1941 roku napisał słowa będące mottem do tego, co potem tworzył:

Piszę – co serce dyktuje,
Bo tęsknię za ziemią i krajem
Co się zielenią i zbożem maluje –
I modli starym zwyczajem
Więzienie Śledcze Orsza 1941 rok

Lemon

Błogo spałaś Europo
zasłuchana w szept Lemonu
nie zbrudzona zbrodni stopą,
nie złocona w blask pożarów

Czemu nikt cię nie obudził,
snu nie przerwał ni marzenia,
czemu żaden z tyłu ludzi
nie otrząsnął z odrętwienia?

Ponad tobą gwiazdy zbladły,
łan kwiecisty zsychał z wolna,

a gdy pierwsze bomby padły,
nie wierzyłaś, że to wojna.

Dym pożogi – przykrył blaski,
krew zmąciła blask szampanu,
gdy skrzywione ludzkie maski,
Przeklinały toń Lemonu.

Orsza 10.II.1941 r.

Na tułaczym szlaku

Wiem przecież, że jestem tułaczem,
że nie mam ni kraju, ni domu,
i choć czasami zapłaczę
to duszy nie wzruszę nikomu.

Wiem przecież, że sad mój w zieleni,
że pola pozląca pszenica,
że wiosna dla obcych rumieni,
że obcą pieśń nuci „Krynica”

Lecz kiedyś nad głową zawiśnie,
błękitne, rodzinne sklepienie,
i kiedyś lzy z oczu wyciśnie
ojcowskie radosne spojrzenie?

Ach! – kiedyż powitam sad w bieli
i pola radością rumiane
i kiedyż dywan rozścieli
pszenica i żyto zasiane?

O! – Kiedyś wśród leśnej gęstwiny
usłyszę jak głuszcak tokuje
i w dzikie popadłszy maliny
dotkliwie się nimi pokłuję?

Dziś kłuję się jednak drutami,
„maszynka” czasami tokuje
i czasem pomyślę ze łzami,
że dzieciół już próchna nie kuje.

Irak-Habanija 1.VI. 1943 r.

Tęsknota do ziemi

Oj! Ziemi ty ziemio zaorana
spalona wojny pożarem –
do ciebie się modlę co rana
znów z myśli dziwnym ciężarem.

Tak kocham te skiby zaorane,
te lśniące pługów lemieszce,
te pola pszenicą ubrane,
gdy wiatr je głaszcze i czesze.

Ech! Kocham ja las mój zielony,
i cichy szelest mej rzeki –
i kiedyż ja tułacz zmęczony
usłyszę szept jej daleki?

Lecz dzisiaj na szlakach wędrówki
westchnienia płyną z cierpieniem,
i z dźwiękiem żołnierskiej podkówki
ku tobie ślę uśmiech z cierpieniem?

Tripoli – Liban 30. XVIII. 1943 r.

Ostatnie życzenie

Nie zapłaczą już niwy nade mną,
wiatr nad mogiłą przestanie wyc
i tylko serce z siłą tajemną
zechce raz jeszcze swobodnie żyć.

Kwiat nie zakwitnie różany
kamień przygniecie mój ślad,
daleko od grobu przelecą bociany,
o mnie zapomną, polecą w świat.

Ach... Żeby ptak jaki zmęczony,
na grobie moim siadł,
a potem przywiódł w te strony
kilka bocianich stad.

Żeby choć jedno piórko upadło,
żeby choć jedna łąza,
żeby choć moje widziadło
odczuło jak serce drga.

Przelecą bociany i piór nie rzucą,
wiatr z grobu zmiecie pył
szakale pieśni swoje zanuca
i nikt nie powie, że ja tu był.

Tak chciałbym usłyszeć głos wolny
i cichy ziemi mej szept,
i chciałbym by jakiś kwiat polny,
na moim grobie wszedł.

Niech wiatr przyniesie nasienie
z wierzby, kąkolu, lnu,
niech wszędzie ponad kamienie
i kwitną podczas snu

Egipt 2. XII. 43

Ślad

Płyta grobową przygniotą ślad,
parę kamieni ozdobi grób
wichry przewieją, zapomni świat –
sam pozostanie mój nagi trup.

W płycie mi sępy wykują krzyż,
moich wędrówek i cierpień szlak,
cicho spytają – Edwardzie, śpisz?
Ja zaś milczeniem odpowiem: tak.

Ziemia gdzieś znajdzie posłanie mi,
całun z m muślinu przytaszczy wiatr.

Deszcze mi zrzucą matczyne łzy,
orzeł przyniesie wspomnienie Tatr.

Komu to wiedzieć i komu znać,
ludzie zapomną, bo ludzie źli.
Ziemi najlepiej krew swoją zdać
ona pokocha – powie: „On śpi”.

Egipt 5. XII. 43

Młodości

Tyś uleciała z harfy rozstrojonym dźwiękiem
z wyciem wichury dzikiej, ze stali nagiej szczękiem,
w dymnych kurzawach wojny z popiołami życia
krzycząc wspomnieniem wiosny z każdego ukrycia.
Różą zostałam zaschlą w pamiętek albumie,
pieśnią płaczącą, którą ten tylko zrozumie
kto cię zagubił wśród burz wojny i w jej dumie,
ten kto tak bardzo ukochał twoje imię.
Byłaś z nami wszędzie – w postrzępionych szatach,
prawdzie modliłaś Sike chętnie gdzieś na róży kwiatach,
potem owiana śpiewem, gonisz w noc pochmurną
prochy wydzierać grobom, popiół starym urnom.
Nieczo przybladła, grałaś wciąż na wspomnień harfie.
Młodości! – Czy cię spotkać kiedyś znów potrafię
piękną jak ranek, błyszczącą jak gwiazdy nocą,
silną, niezłomną, walczącą z przemocą.
Pamiętasz? – Szliśmy ponurą jesienną porą,
szliśmy bezdomni, ale z uporem,
z wiarą w przyszłości zwycięskie hymny,
w nową twórczość, w nowy wiek bezdymny
I nie to – że róże ścieliły nam drogi
że gwiazdy zaćmiły pożogi,
że wieniec cierniowy wił się na głowie –
to było zdrowie.

Szandur-Egipt 1. XII. 1943 r.

Burza nad Monte Cassino

Zerwała się burza – i goni... i goni –
I goni przed sobą ognisk pioruny,
I jęczy, i płacze, i wyje, i dzwoni.
I trąca złośliwie o lutni swej struny.
Na chwilę przycicha, by głośniejsz wybuchać
By szarpać i gonić, przewracać kamienie,
By mocą zniszczenia z podziemi wydmuchać
Ostatnie oddechy, ostatnie cierpienie.

Zerwała się burza ... i goni... i goni...
I charczy, i warczy, i krzyczy w agonii.
To płacze i prosi, to gniewem wybuch
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.

Popatrzcie jak leci szalona i krwawa.
Jak goni w tysiące pocisków odziana.
Jak pędzi i pada przykryta kurzawą,
Jak wzbija się w górę, jak klęka złamana.

Jak wyje najdzikszym, śmiertelnym okrzykiem,
Stokrotnie echami odbija o głązy,
A potem wybucha i płonie ognikiem,
I pełza, i wstaje, i znika sto razy!

Zerwała się burza ... i goni... i goni...
I charczy, i warczy, i krzyczy w agonii.
To płacze i prosi, to gniewem wybucha
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.

Wyrzycie ze schronów, witajcie tę burzę
Popatrzcie jak gonią świetliste pociski.
Witajcie odłamki, warczące na murze
Witajcie znad nieba śmiertelne rozpryski.
Uderzcie palcami w akordy marsowe –
Niech dźwięczą symfonią stalowych pancerzy,
Niech w wieńcu się spleją gałązki laurowe,
I niechaj zwycięstwem ozdobią żołnierzy.

Słyszycie jak goni ... jak goni i dzwoni
I charczy, i warczy, i krzyczy w agonii.
To płacze i prosi, to gniewem wybucha
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.

Za burzą ognistą huragan nadchodzi,
Straszliwym podmuchaem pilboxy rozwala,
I goni, jak upiór w ognistej powodzi,
Gdzie przejdzie, tam piekło na ziemi rozpala,
I siejąc zniszczenie przechodzi przez schrony,
I wyje, i huczy, i niesie popioły.
Szyderczo się śmieje w strzaskane betony.
Jak gdyby na ucztę zwoływał upiory.

Huragan już goni ... i wyje... i dzwoni
I charczy, i warczy, i krzyczy w agonii.
To płacze i prosi, to gniewem wybucha
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.

O skały deszcz dzwoni, deszcz dzwoni pocisków
I charczy, i warczy, i wyje w agonii;
Rozsnuły się dymy, wciąż więcej rozprysków,
Są ranni, zabici, krew spływa po broni
Ktoś ręce przyciska do piersi rozdartej,
Ktoś krzyczy – bij Szwaba! – I pada podcięty,
Ktoś patrzy pośmiertnie, do skały przyparty
Ktoś zmarł w bezruchu do skoku wygięty.

I w gradzie pocisków mkną ludzie szatani,
Spieczone ich usta, szerniały ich twarze,
I głos im się zapiekł, w ochryplej krtani,
Już krzyceć przestali, w tym strasznym pożarze.

A w oczach płonących zwycięstwo pałało,
A w wargach spieczonych drżał szept nieustanny,
I piali się wyżej, już mało zostało –
A piali się wszyscy i żywy i ranny.
Huragan wciąż gonił i śpiewał i dzwonił
I charczał, i warczał, i wrzeszczał w agonii.
To płakał i prosił, to gniewem wybuchał.
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmuchał.

Przycichła już burza, nie bije o skały,
Lecz tylko deszcz pada, deszcz pada ulewny.
Przycichły zupełnie armatnie wystrzały,
A tylko rykoszet rozpoczął takt śpiewny,

I płacze, i jęczy, i błaga i dzwoni,
To całkiem złamany do skały się tuli
To dalej z piechurem, do przodu gdzieś goni
Lub ryje się miękko w żołnierskiej koszuli.
A w deszczu pocisków i w dymnym chitonie
Piechota się wdziera na skalne urwiska
Swe hełmy stalowe naciska na skronie
I ostrzem bagnetów w ciemności przebłyska.

I goni i pada ... i znów się podrywa
I skacze jak zając, jak kozioł się wspina,
To w skałach z jaszczurką w sąsiedztwie się skrywa
To kurczem tygrysim do skoku wygina.

A burza wciąż goni... i goni... i dzwoni
I charczy, i warczy, i krzyczy w agonii.
To płacze i prosi, to gniewem wybucha
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.
Przycichła już burza, nie bije o skały,
Lecz tylko deszcz pada, deszcz pada ulewny.
Przycichły zupełnie armatnie wystrzały,
A tylko rykoszet rozpoczął takty śpiewny,

I płacze, i jęczy, i błaga i dzwoni,
To całkiem złamany do skały się tuli
To dalej z piechurem, do przodu gdzieś goni
Lub ryje się miękko w żołnierskiej koszuli.

A w deszczu pocisków i w dymnym chitonie
Piechota się wdziera na skalne urwiska
Swe hełmy stalowe naciska na skronie
I ostrzem bagnetów w ciemności przebłyska.
I goni i pada... i znów się podrywa
I skacze jak zając, jak kozioł się wspina,
To w skałach z jaszczurką w sąsiedztwie się skrywa
To kurczem tygrysim do skoku wygina.

A burza wciąż goni... i goni... i dzwoni
I charczy, i warczy i krzyczy w agonii.
To płacze i prosi, to gniewem wybucha
To ogniem z miotaczy w żołnierską twarz dmucha.

Przycichła już burza, lecz deszcz jeszcze dzwoni,
I płacze i prosi, i łąsi do broni,
Raz zda się przestaje, to znowu się wzmaga
I coraz to bardziej piechocie pomaga
A ona surowa – wpatrzona w ruiny
Gdzieś goni, jak upiór zakuty w pancerzu.
I nie zna minuty i nie zna godziny,
A tylko te metry zdobywa kamienne,

I coraz się wyżej i wyżej się wspina,
To płaszczy na skale to w kłębek się zwija
To znowu nad skałą kabłąkiem wygina.
I żądło bagnetów w germańską pierś wbija.

I wreszcie, już ciszej i ciszej wydaje
 I coraz to bliżej i bliżej klasztoru
 I jeden za drugim odważniej powstaje,
 I ginie szatańska w czeluściach otworów.
 I nie wstyd wam pieśniarze, z dyplomem... z laurami,
 Że śpiewak wam nieznanym wydzierać chce lutnię,
 Że śpiewać będzie skałom, i żyć ze skałami
 Będzie, jak z zimnym bratem – że śpiewać chce smutnie

I z czołem pomarszczonym chce stanąć przed wami,
 By rzucić w twarz oskarżenie i zakląć okrutnie!
 O płazy zimnolice, cuchnące skorupy,
 Z was już tylko – szkielety i trupy!

I nie żał wam pieśniarze, że groby bez kwiecica
 Jaśniej zapomnieniem i bieli nagością –
 Grobowce przy klasztorze przetrwają stulecia
 I będą żyły w pieśni, młodzieńczą radością
 I wzlecą tak wysoko, jak orzeł nad skały,
 By lotem błyskawicy oblecieć świat cały
 I skarżyć krwi dowodem, że zabrakło wam wiary,
 Że jesteście narzędziem – że kwiat wasz zbutwiały.

Zabrakło słów zwycięstwa, dlatego śpią usta
 Skrzywione bezradnością, i dusza zamknięta
 Na klucz niepewności jak trumna jest pusta,
 A pusta nie na co dzień – lecz pusta od święta,

I na niej nie ma cierni, a same lśnią lustra –
 Świecicie nimi w oczy – gdy dusza podcięta
 Modlitwy szuka cichej, by was wypowiadać,
 By pióro wam wydzierać, by słowem kłam zadać.
 Harfiarze! Czy wiecie, że waszymi pieśniami
 Napępniały się kotliny? Że drżały na szczytach
 Apenin górne słowa, że młodymi piersiami
 Wolności hasła siane – ginęło w zaszczytach,

By wam dać możność śpiewać pełnymi ustami,
 By dłuto w dłoń wam wcisnąć, by kuć wiersz w granitach
 Na chwałę wszystkich wieków, na chwałę Ojczyźnie
 By pamięć pozostawić w bogatej spuściźnie.

Zostały tylko słowa w żołnierskim apelu –
 Tych parę słów od święta rzucanych na groby
 W jesiennej barw pozłocie; płonących na ziele
 Purpury refleksjami i kirem żałoby.
 Zostały tylko... ja sam nie wiem przyjacielu,
 Bo może z płyt już starto, te ostatnie ozdoby,
 Ten krzyż i datę zgonu, wykute przez Włocha,
 I może nawet słońce już tych płyt nie kocha?

Wydzieram lutnię bogom – w akordy uderzą;
 Gromami wzrok zapalą – na ustach zawisną
 Umarłych wydrą grobom, do życia wskreszą,
 A ślepym wskażą inną odległą Ojczyznę

Pozdrawianą – co rana żołnierskim pacierzem
 Ja wam skarb wskażę w grobach krwią polską zabłysną,
 Podniosą w górę żagiew, oświecą przedpole,
 Ukażą wam krainę, niezartą przez mole.

Pierś moja znów nabrzmiewa, jak rana na wietrze –
 Ustami zapiekłymi żrą gniew i skały
 Płucami chłoną chciwie zwęglone powietrze,
 W ramionach młodocianych wstrzymują pożary

I wraz wyżej pnę się w górę – metr po metrze
 Umieram i zmartwychwstaję – pozdrawiam wystrzały
 Pokłonem orientalnym ślad znacząc różami
 Krwi sarmackiej, na wzgórzach posrebrzanych łzami.

Zapomniano w mym kraju, o słowie znad Liri
 O przyjaźni zawartej w pożogach i dymie,
 Zapomniano o ludziach, co sławą okryli...
 Nie! O nich pisano na sadzy kominie.
 Że niby tam Cassino i ... czy Monte – zdobyli,
 Że nie trza o nich pisać – niech pamięć przemienie
 O plewach wiatrem zwianych z ojczystego ziarna,
 Niech ta pamięć się zatrze ta stronica czarna!

Włochy – Lareto – 20. VII. 1944 r.

Życzenie prochom ojca

Śpij ojcze...
 bo ziemia tam polska
 i polski mech
 bo pieśń tam beztroska
 i polski śmiech.

Tam wierzba schylona,
 zgrzybiały dąb,
 kochana ta strona
 miłości głąb.

Edward Poważynski urodził się 18 grudnia 1920 r. w Petersburgu, w rodzinie polskich emigrantów. Gdy miał zaledwie rok rodzina powróciła do Polski i osiedliła się w Słonimie w województwie nowogródzkim. Ojciec, Jakub Poważynski, został przyjęty do wojska i objął stanowisko kapelmistrza orkiestry 79 pp. w Słonimie. Edward, po ukończeniu Państwowego Gimnazjum im. T. Kościuszki, uzyskał małą maturę i kontynuował naukę w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Trokach koło Wilna.

Gdy 17 września 1939 r. wojska sowieckie wkroczyły na wschodnie tereny polskie, liceum zostało zamknięte a uczniowie wrócili do domów. 23 marca 1940 r. został aresztowany przez NKWD w Słonimie. Miał wówczas 19 lat. Skazano go na 5 lat pobytu w łagrach o zaostrożnym rygorze i przydzielono do pracy przy karczowaniu lasów w miejscowości Osinówka (Centralne Łagry Archangielskie). 30 sierpnia 1941 r. został zwolniony na mocy amnestii, a w styczniu 1942 r. wstąpił ochotniczo do organizowanej na terenie Związku Sowieckiego Polskiej Armii pod dowództwem gen. Władysława Andersa, otrzymując przydział do artylerii przeciwlotniczej. W marcu tego roku wraz z 9 Dywizją wyjechał do Persji, następnie po ćwiczeniach w Persji, Palestynie, Iraku, Egipcie, Syrii i Libanie, brał udział w obronie przeciwlotniczej Kanału Sueskiego. Na front wyjechał w grudniu 1943 r. walczył w Apeninach, pod Monte Cassino, nad Adriatykiem, nad rzeką Genli i pod Bolonią.

Po wojnie, będąc kapralem podchorążym artylerii przeciwlotniczej, uzyskał świadectwo dojrzałości na kursach w Alessaro we Włoszech. 15 sierpnia 1947 r. wrócił z Anglii do kraju i zamieszkał w Szczecinie. Zmarł tamże po ciężkiej chorobie w czerwcu 1969 r. Osierocił dwoje dzieci. Za działalność bojową został odznaczony medalem „Monte Cassino”, Medalem „Ot Itali” oraz Krzyżem Grunwaldzkim.

Olgierd Poważynski